

MŁÓCENIE SŁOMY

Zaraz na samym wstępie chciałbym podkreślić, że nie jest moim zamiarem bronienie "polityki wschodniej" Departamentu Stanu, ani tym bardziej jej głównego propagatora Stroba Talbotta, na osobę którego B. Wierzbiański skierował szczególnie napastliwy atak, moim zdaniem nie tylko niestuszny, ale bez znajomości sprawy.

Ale zacznijmy po kolei.

Otóż "rewelacje" pp. Wierzbiańskiego-Moskala opierają się o krótką notkę w "The Washington Times" z 6 września br. pióra Jamesa Morrisona (E. Moskal o dzienniku wspomina, ale nie podaje ani jego daty, ani nazwiska autora notki).

Co się tyczy notki, zatytułowanej "Yalta II or Realpolitik?", to nie jest to zbyt ważna informacja. Morrison zresztą pisze, że "USA są gotowe uznać rozszerzoną strefę wpływów Rosji", co jeszcze nie oznacza, iż ją już uznały, albo zamierzają uznać.

Ale nie to jest nawet najważniejsze. Nawet jeśli jakieś robocze koncepcje autorstwa Talbotta narodziły się w Departamencie Stanu w omawianym przedmiocie, to nie znając całości dokumentu, a tylko jego wrywki cytowane w dodatku przez anonimowego informatora Morrisona - nie mogą one stanowić podstawy do wyciągania daleko idących konkluzji. Koncepcje ponadto, jeśli wierzyć nie sprawdzonym informacjom, mówią przecieź wyraźnie, że USA mogłyby uznać taką rosyjską strefę wpływów, ale tylko do wschodnich granic Polski.

Jeśli tak, to Polacy powinni się cieszyć z takiej właśnie koncepcji Talbotta! Niech się nie martwią o kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę! Białoruś i Ukraina są przecież członkami Wspólnoty Państw Niepodleg-

Dopiero 20 października br. wpadł mi w ręce "Dziennik Związkowy" z 16-18 września, który pod alarmistycznym tytułem "Protest przeciwko prorosyjskiej polityce Waszyngtonu: Jałta II - mit czy realne zagrożenie?", skomentował artykuł Bolesława Wierzbiańskiego w jednym z wydań nowojorskiego "Nowego Dziennika". O artykule B. Wierzbiańskiego słyszałem już wcześniej, ale go nie czytałem, podobnie jak innych jego artykułów, wychodząc z przekonania, że nic mądrego się z nich nie dowiem.

Po przeczytaniu jednak komentarza "Związkowca" na temat wspomnianego artykułu, zawierającego cytaty z "Nowego Dziennika", podobnie jak po przeczytaniu tuż obok komentarza listu prezesa KPA Edwarda Moskala "Druga Jałta?", postanowiłem zabrać głos w sprawie, która jest klasycznym młóceniem słomy.

Dobrze już po północy, w dniu 28 września 1939 r., Ribbentrop przekazał stanowisko Stalina Hitlerowi, łącznie z jego gotowością oddania niektórych polskich terytoriów. Nie-

szyl, a tajna litewska policja Sagauma mordowała ich nie gorzej od Gestapo. Armia Krajowa zaś, już w wolnej dziś niby Litwie, choć nadal rządzonej przez komunistów

nia na Columbia University w Nowym Jorku w dniu 18 października br., jeszcze raz sprzeciwił się rozszerzaniu NATO na wschód, mówiąc wyraźnie, iż "są lepsze od tego rozwiązania" i że tego rodzaju rozwiązanie, "jako najprostsze, jest rozwiązaniem najgorszym".

Jeśli tak, to Kozyriew, nie po raz pierwszy zresztą, dał niedwuznacznie do zrozumienia, że Polska jest dla Rosji "bliższą granicą", czyli leży w jej strefie wpływów.

Stąd też musi dziwić stanowisko pp. Moskala i Wierzbiańskiego, którzy atakują Departament Stanu właśnie za to, że podważa on rosyjskie pretensje do Polski jako "bliższej zagranicy", albo rosyjskiej strefy wpływów.

Ale to jeszcze daleko nie koniec.

Polityka zagraniczna USA, w odniesieniu do jej kluczowych kierunków, określana jest nie przez Departament Stanu, a przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Council), której przewodniczy prezydent. O tym, że Rosja należy do takich kluczowych kierunków, w tej chwili nawet ciągle najważniejszych, nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Stąd też jakikolwiek dokument krążący po Departamencie Stanu, prawdopodobnie w wersji roboczej, w dodatku na temat polityki wobec Rosji, nie może być w żadnym wypadku uznany za linię amerykańskiej polityki zagranicznej.

Co się zaś tyczy decyzji podejmowanych przez NSC, to w omawianym przypadku liczą się tylko tzw. NSDD (National Security Decision Directive), z której każda nosi odpowiedni numer. Tego rodzaju decyzje-

nu w omawianym przedmiocie, to nie znając całości dokumentu, a tylko jego wrywki cytowane w dodatku przez anonimowego informatora Morrisona - nie mogą one stanowić podstawy do wyciągania daleko idących konkluzji. Koncepcje ponadto, jeśli wierzyć nie sprawdzonym informacjom, mówią przecieź wyraźnie, że USA mogłyby uznać taką rosyjską strefę wpływów, ale tylko do wschodnich granic Polski.

Jeśli tak, to Polacy powinni się cieszyć z takiej właśnie koncepcji Talbotta! Niech się nie martwią o kraje bałtyckie, Białoruś i Ukrainę! Białoruś i Ukraina są przecież członkami Wspólnoty Państw Niepodległych, która jest jakąś ciągłością b. ZSRR, a może też zarodkiem jakiegoś nowego tworzenia powstającego na jego miejscu, a z krajami bałtyckimi sprawa jest też niejasna. Polskę może jeszcze obchodzić jako tako tylko Litwa. Ale warto w tym miejscu przypomnieć, że właśnie Litwa, choć jej los był i tak przesądzony paktem Ribbentrop-Mołotow, z własnej woli przecieź, a także naiwnie, wpadła w chytrze zastawioną pułapkę sowiecką.

Przypomnijmy jak z tym było. Moskwa, po zajęciu Kłajpedy przez Niemców w marcu 1939 r., dość otwarcie wzięła stronę Kowna w całym incydencie. Zawsze też brała stronę Kowna w sporze litewsko-polskim o Wilno. Stąd też pravicowo-nacjonalistyczne władze litewskie nabrały wielkiej sympatii do ZSRR. I Stalin to umiejętnie wykorzystał. Jak wiadomo, w pierwszym pakcie Ribbentrop-Mołotow z 23 sierpnia 1939 r., kiedy to już dokonano wstępnego rozbioru Polski, sprawa Litwy była jeszcze wtedy niejasna. Wyjaśniła się ona dopiero 27 września 1939 r. późnym wieczorem, kiedy to przybyły do Moskwy Ribbentrop dla podpisania "drugiego paktu" usłyszał od Stalina osobiście co miało się stać z Litwą. Niemcy, mimo zajęcia Kłajpedy i chęci włączenia okręgu Mariampola do Prus Wschodnich, dla "wyrównania" granicy z Litwą, chciały mimo wszystko utrzymać jej niepodległość, choć zapewne stałaby się ona ich wasalnym państwem. Stalin powiedział jednakże twardo Ribbentropowi, że "Litwa zawsze była związana trwałymi więzami z Rosją i ZSRR".

rającego cytaty z "Nowego Dziennika", podobnie jak po przeczytaniu tuż obok komentarza listu prezesa KPA Edwarda Moskala "Druga Jałta?", postanowiłem zabrać głos w sprawie, która jest klasycznym młóceniem słomy.

Dobrze już po północy, w dniu 28 września 1939 r., Ribbentrop przekazał stanowisko Stalina Hitlerowi, łącznie z jego gotowością oddania niektórych polskich terytoriów Niemcom, które już były pod okupacją sowiecką. Hitler, jak wiadomo, propozycje Stalina przyjął.

Ale jak wszystko to sprzedano naiwnym Litwinom?

Nie wchodźmy już w aż nadto dobrze znane szczegóły na ten temat. Faktem jest jednak, że Stalin, zaproszonej na Kreml delegacji litewskiej, ujawnił szczegóły "drugiego paktu" Ribbentrop-Mołotow, ale zapewnił ją, że ZSRR, wbrew Niemcom, nie zgadza się na utratę niepodległości Litwy, a ponadto oddaje jej okupowane przez siebie Ziemię Wileńską i Nowogródzką! Ba, Stalin dodał nawet, że wojska z baz sowieckich na Litwie podejmą w razie potrzeby akcję przeciwną... komunistom litewskim, jeśli by im się zachciało dokonywać jakiejś rewolucji! Prawda, Litwini trochę się zżymali, ale porozumienie podpisali 10 października 1939 r. W ten sposób Litwini coś tam odzyskali formalnie, ale w zamian za to zgodzili się wpuścić na swoje terytorium 30 tysięcy wojsk sowieckich...

Jak było potem - też wiemy. Litwa została republiką sowiecką i fakt ten, zgodnie z relacjami wiarygodnych świadków, przyjęli nawet entuzjastycznie...

Tak, oczywiście, potem przejeździ na oczy, ale w stosunku do Polaków nadal zostali nieprzyjaźni, jeśli wręcz nie wrocy. Po przepędzeniu Sowietów przez Niemców, o czym też dobrze wiemy, stosunek Litwinów do Polaków jeszcze bardziej się pogor-

szył, a tajna litewska policja Sagauma mordowała ich nie gorzej od Gestapo. Armia Krajowa zaś, już w wolnej dziś niby Litwie, choć nadal rządzonej przez komunistów z Algirdasem Brazauskasem na czele, jest nadal uważana przez Litwinów za "zbrodnia-rza wojennego"...

Innymi słowy więc, niech Polacy nie przejmują się za bardzo losem Litwy i innych krajów bałtyckich, które mogą dostać się do rosyjskiej "strefy wpływów". Kraje te są w tej strefie już dzisiaj, podobnie jak jest w niej Polska. Martw się więc o nasz własny los przede wszystkim.

A skoro już mowa o rosyjskiej "strefie wpływów", to zatrzymajmy się chwilę nad tą właśnie sprawą.

Otóż rosyjska polityka zagraniczna, czy nawet WNP-owska, gdyż w sprawach podstawowych daje się zauważyć dziwną zbieżność polityki zagranicznej dwunastu państw WNP, wprowadziła niezbyt ściśle zdefiniowane pojęcie "bliskiej zagranicy" (po rosyjsku "bliże zarubieże"). Na ogół Moskwa twierdzi a powtarza to także rosyjski ambasador w Polsce Jurij Kaszlew, że "bliska zagranica" nie obejmuje Polski. Z drugiej strony jednakże jest aż nadto sporo dowodów na to, oficjalnych rosyjskich oświadczeń nie wyłączając, że pojęcie "bliska zagranica" obejmuje także Polskę. Widomym tego dowodem jest stanowisko Rosji m.in. w sprawie polskiego członkostwa w NATO. Nie sięgając już od innych znanych przykładów potwierdzających taki pogląd, warto się posłużyć najnowszym. Konkretnie mówiąc, Andriej Kozyriew, rosyjski minister spraw zagranicznych, w czasie swojego wystąpie-

zydent. O tym, że Rosja należy do takich kluczowych kierunków, w tej chwili nawet ciągle najważniejszych, nie trzeba chyba nikogo przekonywać.

Stąd też jakikolwiek dokument krążący po Departamencie Stanu, prawdopodobnie w wersji roboczej, w dodatku na temat polityki wobec Rosji, nie może być w żadnym wypadku uznany za linię amerykańskiej polityki zagranicznej.

Co się zaś tyczy decyzji podejmowanych przez NSC, to w omawianym przypadku liczą się tylko tzw. NSDD (National Security Decision Directive), z której każda nosi odpowiedni numer. Tego rodzaju decyzje-dyrektywy są ściśle tajne, a przynajmniej przez pewien okres.

Odnosnie b. obszaru bloku sowieckiego, pomijając już bardziej odległe czasy, to na uwagę zasługują dwie decyzje-dyrektywy, tj. NSDD-32 z wiosny 1982 r. oraz NSDD-75, z końca tegoż roku. Pierwsza, podobnie jak styna NSC-68 (wówczas tak zwana) z 1950 r., jeszcze z czasów administracji Trumana, określała amerykańską politykę wobec Europy Wschodniej. Druga zaś stawiała wręcz na niezbrojną konfrontację z ZSRR.

Obie te dyrektywy-decyzje nie zostały dotąd anulowane, choć zapewne ich praktyczna realizacja została poważnie zdezaktualizowana w wyniku znanych wydarzeń na obszarze b. bloku sowieckiego.

W każdym razie, nie o tym nie słychać, żeby jakiś "dokument Talbotta" przybrał postać decyzji-dyrektywy, a bez tego o jakiejś zasadniczej zmianie amerykańskiej "polityki wschodniej", która już w przeszłości dążyła do wyrwania m.in. Polski spod sowieckiej dominacji, choć nie drogą wojny, nie może być mowy.

Natomiast, choć na ten temat nie można jeszcze wydawać żadnych kategoriicznych sądów, istotnie na odcinku stosunków Waszyngton-Moskwa, już od kilku lat, jeszcze od końcowych dni istnienia ZSRR, zaczęła się majaczyć po obu stronach idea jakiegoś "strategicznego partnerstwa", która z czasem mogłaby doprowadzić nawet do ewentualnego sojuszu między obu wojskowymi supermocarstwami.

Sprawie tej należy poświęcić oddzielną uwagę.

Otóż USA nie robi z tego tajemnicy, że jedynym krajem w świecie, który jest w stanie zetrzeć je z powierzchni ziemi, jest Rosja. Podobnie Rosja uważa USA za kraj będący w stanie ją z kolei zetrzeć z powierzchni ziemi.

Co więcej, oba supermocarstwa już dawno doszły do wniosku, że konflikt zbrojny między nimi jest obopólnym samobójstwem, choć nie jest wykluczone, że wraz z postępem w tzw. technice bojowej jedna ze stron może dojść do wniosku, nie wiadomo czy nie błędnego, że konflikt jest do wygrania.

Niemniej jednak, na dzień dzisiejszy, oba supermocarstwa nawet już nie mówią o konflikcie między sobą, a natomiast mówią, szczerze czy nie, o wspomnianym partnerstwie, a w przyszłości może nawet sojuszu.

Rozważania tego rodzaju biorą się stąd, że w polityce, jak powszechnie wiadomo, nie ma ani wiecznych wrogów, ani wiecznych przyjaciół, a liczą się tylko interesy narodowe. USA i Rosja, czy w przeszłości ZSRR, nie były ze sobą nigdy w stanie wojny, choć były między nimi okresy długotrwałego napięcia, a nawet wojny "poprzez pośredników". Stąd też, teoretycznie przynajmniej, oba kraje mogą łatwiej znaleźć wspólny język, niż ma to miejsce w ich stosunkach z innymi mocarstwami, z którymi bywały już w stanie wojny.

Co więcej, jeśli sprawdzą się niektóre długofalowe prognozy, to już ok. 2020 r. pierwszym mocarstwem gospodarczym i wojskowym w świecie mogą zostać Chiny. USA spadną na drugie miejsce, na trzecim będzie Japonia, na czwartym Indie, na szóste spadną Niemcy (po Indonezji), a Rosja może się znaleźć dopiero na trzynastym miejscu.

Rzecz jasna, prognozy te mogą się nie sprawdzić, ale faktem jest, że Azja nabiera w świecie coraz większego znaczenia i USA, podobnie jak Rosja, nie wykluczają wielkich dla siebie kłopotów z tego powodu. Nic więc dziwnego, że oba kraje wyciągają stąd różne konkluzje, nie wykluczające także wzajemnego zbliżenia się.

Czy USA mają prawo patrzeć daleko w przyszłość? I czy w rozważaniu różnych koncepcji muszą koniecznie zasięgać opinii pp. Moskale i Wierzbiańskiego?

Ale powróćmy jeszcze do całego szumu wokół "Jałty II".

Sprawa ta, mówiąc najkrócej, jest zwykłym nieporozumieniem. W ogóle zaś, to nawet sprawa "Jałty I" została przesadnie demonizowana. W gruncie rzeczy bowiem, uchwały "Jałty I" nie były nawet złe, ale rzecz w tym, że nie były wykonane w niektórych jej częściach. Chodzi tu właściwie o pogwałcenie tylko jednego z porozumień tj. dotyczącego wolnych wyborów w Europie Wschodniej, w tym także w Polsce. Inne sprawy, jak np. granic, były już częściowo rozwiązane na teherańskim szczycie, a jak wiadomo dotyczyło to polskiej granicy wschodniej, gdyż zachodnia była tylko częś-

ciowo poruszona. W Jałcie zaś teherańskie postanowienia wobec polskiej granicy wschodniej nie tylko potwierdzono, ale dla odmiany nie zdobyto się przecież, poza ogólnikowymi stwierdzeniami, na jakieś definitywne wypowiedzenie się w sprawach polskiej granicy zachodniej i północnej (wspomniano tylko o "wydatnych nabytkach terytorialnych Polski na zachodzie i północy", a w odpowiednim momencie miano tylko wystąpić opinii "polskiego rządu tymczasowego", zaś ostateczne "wyznaczenie linii zachodniej granicy Polski" miało nastąpić później, na konferencji pokojowej). To "później" mogło już nigdy nie nastąpić, gdyż mocarstwom zachodnim zależało już wtedy więcej na pokonywanych Niemczech, niż na "zwyckiej" Polsce (przypomnijmy też, że emigracyjny rząd Tomasza Arciszewskiego wyrzekał się nawet owych "wydatnych nabytków" terytorialnych Polski na zachodzie i północy).

Jak wiadomo, Stalin rozwiązał sprawę 1 marca 1945 r., wydzielając tzw. Ziemię Odzyskaną z własnej strefy okupacyjnej, którą miał mieć w Niemczech. I ten stan rzeczy przetrwał do dnia dzisiejszego. W ten sposób Polska rozciąga się dziś pomiędzy Bugiem a Odrą, choć mogła się rozciągać tylko pomiędzy Bugiem a Wartą.

Innymi słowy więc, patrząc na sprawę bez emocji i z perspektywy historycznej, lepiej było mieć dzisiejsze granice i bez rządu wybranego w wolnych wyborach, niż mieć taki rząd, ale mieć Polskę mniejszą terytorialnie o ponad jedną trzecią... Tylko bowiem niepoprawni naiwniacy mogą wierzyć, że

ktokolwiek na Zachodzie przywracałby siłą polskie granice wschodnie sprzed 1939 r., a nie potrzeba chyba dodawać, że własnymi siłami Polska sama utraconych ziem nie odbiłaby przecież.

Stąd też na "Jałtę I", po prawie pięćdziesięciu latach, trzeba spojrzeć nieco inaczej i nie straszyć nią, ani jakąś "Jałtą II", której nawet trudno się przecież doszukać!

Na zakończenie jeszcze jedna refleksja.

Polacy, gdziekolwiek by nie byli, powinni być czujni i dokładnie analizować wydarzenia, które bezpośrednio i pośrednio ich dotyczą. W razie grożącego Polsce niebezpieczeństwa powinni też zgodnie podnosić głos w jej obronie. Ale przecież, jak to się mówi potocznie, nie dajmy się zwariować! Po co podnosić alarm w sprawie jakiejś "Jałty II", której nie ma?

Przeciwnie, należy sobie życzyć, żeby USA właśnie zgodziły się na rosyjską strefę wpływów zatrzymującą się na Bugu! Będąc na miejscu Talbotta byłbym nieprzyjemnie zdziwiony, że Polacy temu oponują!

Obawiam się jednakże, że tak dobrze nie jest i rosyjskiej strefy wpływów nie da się zatrzymać na Bugu, a dobrze będzie, jeśli skończy się tylko na Odrze...

Co się zaś tyczy całego szumu wokół "Jałty II", to jest to nic innego jak przysłowiowe młócenie słomy. Szkoda tylko, że młóceniem tym zajmują się ludzie, którzy wśród Polonii mają wpływy. Niepotrzebnie tylko angażują jej uwagę i energię w sprawach, których realnie nie ma, albo wyglądają zupełnie inaczej, niż jej się to wmawia.

Zdzisław M. Rurcz